

Przerwany lot

1

Zapowiadał się nudnawy lot. Wprawdzie porażający swoją wielkością okrzyczany „Titanic” należał do komfortowych i luksusowo wyposażonych kosmicznych statków pasażerskich, istnych gigantycznych hoteli w próżni, jednak pech chciał, że tego roku Jowisz i Mars ulokowały się złośliwie po przeciwnych stronach Słońca — jedna z tych planet była w *aphelium*, a druga w *perihelium*. Na pokonanie dzielącego je koszmarnego dystansu, wynoszącego ponad miliard kilometrów, trzeba było około miesiąca. Na tę absurdalną podróż zdecydowali się więc przeważnie ci, którzy mieli nóż na gardle i z ważkich powodów musieli jak najszybciej dotrzeć do Czerwonej Planety. Pamiętający o tym Bob straszliwie ziewał już w dniu odlotu. Nie pojmował, dlaczego szefowie jego właśnie oddelegowali na Marsa. Czy tam nie mieli speców od Świetlistych? Nie ominęło go wrażenie, że został złośliwie wypchnięty w próżnię. Z gasnącą nadzieją na odmianę podłego losu marudnie się przyglądał ostatnim nieśpiesznie okrętującym się pasażerom, jednak wśród ładujących się na pokłady nie dostrzegł absolutnie nikogo, z kim chciałby zawrzeć bliższą znajomość. Wreszcie opuścili statek portowi kontrolerzy zabezpieczeń i zatrzaśnięto włazy, odcinając mu ostatecznie drogę ucieczki.

Wcześniej usiłował oswoić się z rozkładem głównych pomieszczeń kosmicznego kolosa, a było tego niemało. Po starcie zaś tkwił nastroszony około godziny przed grubym, ale przejrzystym iluminatorem, z bólem żegnając najpierw odpływającą w dal stację orbitalną z cumującymi przy jej rękawach czarnymi kontenerowca-

mi, a następnie otoczonego cienką powłoką lekko fluoryzującej atmosfery kurczącego się Ganimedesa. Akurat jego dwa sztuczne słońca kryły się za zakrzywioną linią horyzontu. Statek miał całkiem niezłe przyspieszenie, więc oddalający się księżyc zamienił się w mig w ledwo widoczny świecący punkt na rozgwieżdżonym niebie. Potem jeszcze jakiś czas gapił się na Jowisza, jakby to on był winien jego zgryzot.

Cóż było czynić? Nie mógł już się wycofać.

— Zła passa — rozżalony bąknął pod nosem, godząc się jakoś z tym, że tego nie zmieni.

Zawrócił do swojej kabiny, omijając wyłożony tłumiącym kromi miękkim dywanem szeroki korytarz, wiodący do sal reprezentacyjnych. W centrum była wysoka na trzy poziomy i otoczona antresolą sporawa sala jadalna, główne miejsce codziennych spotkań pasażerów, a wprost z niej można było przejść do kilku jeszcze pustawych pierwszego dnia kawiarenek i salonów rozrywki. Najbardziej podniecające było ponoć złociste kasyno o wiele mówiącej nazwie „Las Vegas”, ale nie przypuszczał, że będzie tam częstym gościem. Na drugim poziomie znajdowała się pływalnia z prawdziwą wodą, ambulatorium medyczne, pomieszczenia rekreacyjne, siłownia, solaria i gabinety masażu oraz pasaż ze sklepami. Jego apartament był dosyć przyzwoity i z urządzony wyrafinowanym smakiem, żadna tam pokraczna więzienna cela czy rodzaj przyciasnego korytarzyka ze ścienną wnęką do spania. Kwaterę wyposażono — między innymi — w porządne wirtualne okna z powiewem, zapachami i gamą naturalnych dźwięków. Znaczyły się za nimi, zależnie od wybranej opcji, bądź to ściana gęstej tropikalnej dżungli z rozświetloną słońcem żółtą plażą, bądź to surowy w swym majestacie zalodzony masyw Herkulesa. Aby znaleźć inne ułgaskane świetlne obrazy, należało cierpliwie pogrzebać w katalogu. Bob mógł ponadto zmieniać kolor ścian, ale meble pozostawały wciąż te same. Korzystając z rzuconego na fotel podręcznego terminala z lektorem jeszcze raz w skupieniu przejrzał listę pasażerów, ale znowu nie dostrzegł niczego zajmującego. Lektor miał głos obojętnie matowy i nie nadawał się na rozmówcę. „Titanic” mógł standardowo pomieścić na swoich pokładach dwustu piętnastu podróżnych, jednakże tym razem zabrał

ich tylko osiemdziesięciu dwóch. Po starcie część z lecących zwykle decydowała się na płytką hibernację. Rozejrzał się po salonie. To wyjaśniało, dlaczego za cenę kajuty drugiej klasy leciał w komfortowym apartamencie pierwszej. Zaintrygowała go klasyczna biblioteka, gdyż na nią akurat natrafił w terminalu. Obok niezliczonej ilości e-filmów i e-booków, księgozbiór obejmował kilkadziesiąt tysięcy bardzo starych papierowych pozycji książkowych z różnych dziedzin — począwszy od filozofii, etyki i religii, a skończywszy na naukach przyrodniczych. Musiał sobie jakoś poradzić z nadmiarem wolnego czasu i przyszło mu do głowy, że mógłby wzorem dziadka Brunona podumać nad pismami Arystotelesa ze Stagiry, bądź też zastanowić się nad sensem życia i wreszcie przeczytać Biblię, której nigdy nie trzymał w rękach.

— To jest myśl! — pótszepnął. Nie należało pochopnie rezygnować z asystencji uskrzydłonych muz.

Jego dziadek cieszył się opinią znakomitego filozofa, myślicielela nowej generacji, a laury zdobywał w okrzyczanej Akademii Humanistycznej w Nowym Amsterdamie na południu księżycy. W terminalu zachwalano ponadto ogród botaniczny, w którym mieściło się kilka tysięcy prawdziwych okazów ziemskiej flory. Ponoć kwiaty wolno było własnoręcznie zrywać, a pachnące bukietki i wiązanki zabierać do kajut. Oprócz tego oczekiwało na zwiedzających sporawe oceanarium z różnymi gatunkami morskich stworów, jednak nie dające możliwości pletwonurkowania wśród paradnych podwodnych brzydali. Zapraszało nadto kilka innych naturalnych środowisk, ale z jakich planet, tego nie sprawdzało.

Znudzonym głosem podzielił się z naściennym komunikatorem danymi o sobie, a potem skorzystał z zajmującej róg łazienki kabiny do regeneracji, wcześniej odruchowo wodząc palcami po jej dostępnych ustawieniach. Okazało się, że w tę wbudowano kilka arcyciekawych modułów. Między innymi była wyposażona w poszerzony zespół reduktorów nadwagi, co pozwalało wygodnickiemu pasażerowi w ogóle nie martwić się o kalorie. Odświeżony i zrelaksowany z ciekawości zajrzał potem do pokładowego menu, chcąc się zorientować, czym załoga „Titanica” ma zamiar truć skazanych na niekończący się lot podróżnych i gwizdnął z niekłamanym uznaniem.